PRAWDA

Pismo tygodniowe.

Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.

Rok XXXV Nr. 4 *Warszawa, 30 stycznia 1915.* Nowy-Świat 15.

ST. PIEKARSKI.

Perspektywy nacjonalizmu rosyjskiego.

Z pośród artykułów, ukazujących się w prasie rosyjskiej, a niedocenionych przez naszą prasę, wyróżnia się artykuł Mieńszykowa z d. 23 b. m., zamieszczony w *Nowym Wremieni*. Jak wiemy, *Nowoje Wremia*, przy całej kameleonowej zmienności, jaką wykazuje, jest typowym odbiciem poglądów szerokich sfer społeczeństwa rosyjskiego i płynie zawsze z prądem. Tymbardziej polecamy artykuł ten uwadze niektórych naszych «polityków», prowadzących bez żadnego upoważnienia politykę naszą narodową i występujących w imieniu całego narodu.

Artykuł p. Mieńszykowa jest odpowiedzią na list w kwestji polskiej p. Antoniego Żwana, wzywający prasę rosyjską do «wyjścia z chaosu» w sprawie polskiej i wyznaczający Polsce rolę przedmurza i tarczy, chroniącej Rosję od nawały germańskiej. Po złośliwej uwadze pod adresem autora: «osobiście wydaje mi się złym prognostykiem dla braterstwa słowiańskiego to, że publicysta polski z Warszawy nie może zwrócić się do publicysty rosyjskiego w Petrogradzie inaczej, niż po francusku», p. Mieńszykow pisze co następuje:

«Jedynem zastrzeżeniem, jakie chciałbym zrobić od siebie, jest to, że podnoszenie sprawy polskiej w prasie uważam w chwili obecnej za nieodpowiednie. Podczas pożaru należy naprzód gasić go przed robieniem dalej idących planów. Zasługi Polski w tej wojnie są równie niezaprzeczone, jak naturalne. Przecież Polska walczy nie tylko w obronie Rosji (a tym mniej w obronie trójporozumienia), ale także o siebie, *o samo istnienie polskiej rasy*, podobnie jak Rosja walczy nie tylko o siebie, ale i o Polskę. W walce z germanizmem w ostatecznym razie obeszlibyśmy się bez pomocy Polski, Polacy zaś bez Rosji nie zdołaliby zwalczyć wroga. Nie należy przytym zapominać, że jeżeli w szeregach armji rosyjskiej walczą setki tysięcy Polaków, to przecież takież setki tysięcy walczą w szeregach austro-niemieckiej armji. Dlatego też wydaje mi się, że nie należy obecnie wcale śpieszyć się z załatwianiem porachunków, wypływających z wojny. Jestem głęboko przekonany, że Rosja, zawsze uczciwa w swych obietnicach, wypełni uczciwie wszystkie obietnice, zawarte w Odezwie Wodza Naczelnego, a moze nawet pójdzie dalej».

Dalej p. Mieńszykow pisze o mowie p. Karpińskiego w lokalu tow. kupieckiego na słowiańskim obiedzie. Mówca dowodził potrzeby rozstrzygnięcia sprawy polskiej w drodze zastosowania 87 paragrafu konstytucji, i pokazywał przytym mapę etnograficzną p. Jankowskiego, jako dowód, że wymagania polskie są bardzo skromne.

«Mnie osobiście — pisze p. Mieńszykow — wydają się być te żądania polskie dosyć skromnymi i rozsądnymi, ale bezwątpienia spotkają się one z uporczywą opozycją. Przeciwko mowie p. Karpińskiego oponował dosyć ostro p. Szczegłowitow, kładący nacisk na to, że pytanie o przyszłym ustroju Polski powinno być przedyskutowane w izbach prawodawczych. «Wszyscy my bardzo

współczujemy cierpieniom Polski, choćby w części zasłużonym przez nią (wedle zdania p. Szczegłowitowa), ale śpieszyć się z urządzaniem Polski nie możemy choćby dlatego, że austrjacka i niemiecka część tego kraju znajduje się jeszcze pod cudzym panowaniem i wcale niewiadomo, czy Polacy tamtejsi zgadzają się w swych poglądach z rosyjskimi Polakami.»

Publicysta rosyjski kwestjonuje w tym miejscu zupełnie słusznie prawo Komitetu Narodowego do prowadzenia ogólno-polskiej polityki. Jeżeli się żądało od Galicji, aby występowała tylko w swym własnym imieniu, nie przesądzając stanowiska, które chce zająć Królestwo, to elementarna logika mówi, że tę samą miarę należy zastosować do Królestwa. Obecna polityka N. D. jest niczym innym, jak wypowiadaniem wojny na własną rękę Galicji.

Za największą jednak zasługę p. Mieńszykowa uważamy szczere stawianie przez niego kwestji stanu polskiego posiadania na Litwie i Rusi i wykazywanie znaczenia tego faktu dla stosunków polsko-rosyjskich wogóle. Pozwolimy sobie przytoczyć ustęp ten prawie w całości.

«Chodzi o to, że istnieje *nie tylko jedna* kwestja polsko-rosyjska, ale *dwie* — obie zarówno tragiczne. Gdyby sprawa redukowała się tylko do rosyjskiego panowania w Polsce, byłoby może niezbyt trudno rozwiązać ją bardzo prosto — zrzec się Polski. Ale w takim razie znikłaby tylko jedna kwestja, pozostałaby natomiast druga równorzędna pierwszej. Na wiele lat przed podbiciem Polski przez Rosjan odbył się podbój Rosji przez Polskę i *podbój ten dotychczas nie został zlikwidowany*. W gubernjach Rosji Zachodniej, na Białorusi, Litwie, Wołyniu, Podolu, w niektórych gubernjach małoruskich w rękach polskich znajduje się wielka a po części i drobna własność ziemska oraz rola klasy kulturalnej. Dopóki ziemia, kapitał, wykształcenie należą do dosyć znacznego procentu cudzoziemców, ludność miejscowa nie może uważać się za niezależną. Ucisk ekonomiczny nie jest lżejszy od politycznego. Obecna okropna wojna wykazała co to znaczy popełniać błąd dopuszczania na kresy państwa fali kolonistów z państwa sąsiedniego. Wyobraźmy sobie, że Polska etnograficzna stała się państwem zupełnie od Rosji niezależnym z 20-miljonową ludnością. W razie przymierza takiej Polski z Niemcami (co się nie zdarza na świecie!) armja polska znalazłaby w Rosji Zachodniej liczną kolonizację polską, daleko bardziej zakorzenioną, niż obecna kolonizacja niemiecka w Rosji. Wojnę z nami przygotowywanoby (jak to miało miejsce z Niemcami) na naszym własnym terytorjum. Na naszej własnej ziemi żyliby ukryci nieprzyjaciele naszej armji i w przyszłości byłoby może trudniej dać sobie z nimi radę, niż obecnie. Oto co jest ważną bardzo przeszkodą do wskrzeszenia Polski. Potrzeba bardzo długiego czasu, żeby stopniowo zlikwidować pierwszą i najtrudniejszą kwestję polską—zabór polski w Rosji Zachodniej. Od czasów Olgierda i Witolda aż do Piotra Wielkiego Polska prowadziła w stosunku do Rosji politykę zaborczą. Nieraz była ona bardzo blizka zupełnego podboju Rosji. Czerwona Ruś, Białoruś, Czarna Ruś, Zielona Ruś i wreszcie Małorosja były już zajęte przez Polskę za pośrednictwem Litwy i dopiero Wielkorosji udało się złamać napór i utrzymać się. Straszliwe ślady podboju polskiego pozostały do dziś dnia. Polacy doprowadzili prosty lud rosyjski do stanu poddaństwa, bardzo zbliżonego do niewoli, gdy tymczasem Rosja, podbiwszy Polskę, uwolniła lud polski z niewoli panów. Polacy odebrali ludowi ruskiemu ziemię, Rosjanie nadali ludowi polskiemu ziemię. Wogóle Rosja Zachodnia pod rządami polskimi upadała i wegetowała, podczas gdy Polska pod rządami rosyjskimi zakwitła pod wieloma względami. W każdym bądź razie zgadzam się jednak, że władza obca w obu tych wypadkach nie jest bynajmniej czymś naturalnym i pożądanym. Najlepiej, aby każde plemię było gospodarzem na swej własnej ziemi. Współczując głęboko narodowemu prawu wszystkich narodów, szanuję również i polski ideał narodowy, ale sądzę, że ideał ten możliwy jest do osiągnięcia tylko drogą stopniowej likwidacji naszych wzajemnych grzechów. Wprzód musi być uwolniona Rosja od śladów zaboru polskiego, a następnie — Polska od zaboru rosyjskiego.»

Należy się p. Mieńszykowowi wdzięczność za szczere stawianie kwestji. Jak widzimy, chodzi tu już nietylko o wyrzeczenie się jakichś aspiracji politycznych w stosunku do Litwy i Rusi, ani nawet o walkę z wielką własnością ziemską w imę ideałów społeczno-demokratycznych. Chodzi o zupełną i absolutną eksterminację żywiołu polskiego w tych

prowincjach. Chodzi tu, ni mniej ni więcej, o usunięcie, licząc według danych urzędowych, około 2,5 miljona Polaków, którzy mieli nieszczęście urodzić się na Litwie lub Rusi, łącznie z Galicją Wschodnią. De facto żywioł ten przedstawia się jeszcze pokaźniej, bo na zasadzie obliczeń p. Maliszewskiego w prowincjach tych mieszka około 2.000.000 Polaków, a w Galicji Zachodniej 1.500.000. Razem wynosi to prawie tyle, ile liczy zabór pruski. Zwracamy uwagę, że są to już tylko resztki tego, co zostało z miljonów naszych mazurów, którzy ulegli zruszczeni na tych kresach.

Kto powiedział A, musi powiedzieć B. Przecież nietylko Polska niezależna może źle oddziaływać na te prowincje. Sam fakt istnienia Polski wogóle z tego stanowiska jest szkodliwy dla interesów nacjonalizmu rosyjskiego. Wynika stąd, że jakakolwiek zmiana kursu w stosunku do nas możliwa jest w perspektywie p. Mieńszykowa nie wcześniej jak za jakieś 200—300 lat, bo tyle czasu przynajmniej zająć musi proces asymilacji ostatecznej tych krajów.

Żeby dostatecznie ocenić i zrozumieć ile w wywodach p. Mieńszykowa jest zrozumienia i odczucia potrzeb państwowych Rosji, należy sięgnąć do dzieł Maurycego Mochnackiego.

W pierwszym rozdziale swej «Historji powstania» natchnionymi słowami maluje on niepowstrzymane parcie w stronę Konstantynopola — parcie możliwe tylko dzięki posiadaniu Rusi. Wprawdzie imperjalizm można pogodzić z zupełną tolerancją narodowościową i równouprawnieniem ludów, wchodzących w skład danego państwa. Ale na to potrzeba państwa o złożonej, współczesnej strukturze ekonomicznej i narodowości panującej o wybitnej sile asymilacyjnej, dzięki wysokiej kulturze. Tymczasem, jak to szczerze i otwarcie wyraził w swoim czasie Stołypin, rosyjscy mężowie stanu, nawet szanując kulturę polską, muszą się jej obawiać i zwalczać ją wszelkimi środkami.

Czy Rosja prędko przejść może do takiego imperjalizmu, będącego odbiciem współczesnej struktury ekonomicznej? Odpowiedź na te pytania niech nam dadzą cyfry. Stosunek procentowy ludności miejskiej do ogółu ludności wynosił w 1885 r. dla Rosji Europejskiej 12,2%; w r. 1906 wynosił on 12,3%; powiększenie, jak widzimy, minimalne.

Nie umiemy myśleć porównawczo. Nie ulega wątpliwości, że rozwój ekonomiczny Rosji idzie olbrzymimi krokami. Jest to jednak, jak widzimy, wzrost absolutny, ale nie względny w stosunku do innych krajów, a nawet w stosunku do wzrostu ludności. W dodatku taki np. Demolins, w swym dziele «Szlaki dziejowe a typy społeczne», uważa cały rozwój przemysłowy Rosji za nienormalny. Zdaniem jego, przemysł rosyjski ma charakter sztuczny: rozwija się przemysł metalurgiczny np. dzięki zamówieniom rządowym i protekcjonizmowi, podczas gdy przemysł przetwarzający produkty rolne nie rozwinął się jeszcze dostatecznie. Przy olbrzymich obszarach ziemi, będących w posiadaniu Rosji, długie jeszcze lata upłyną zanim przejść ona będzie mogła od gospodarki ekstensywnej do intensywnego wykorzystania bogactw przyrodzonych.

Trudno jest oczywiście bawić się w proroctwa i określać czas, w którym ma to nastąpić. W każdym bądź razie na to, aby Rosja mogła prowadzić politykę narodowościową, w rodzaju np. polityki angielskiej, potrzeba będzie przynajmniej jednego albo kilku stuleci. Przykładem powolności rozwoju w tym kierunku są np. Niemcy. Pomimo tego, że ludność miejska wynosi w nich około 71% ludności, przeżytki feodalne są w nich jeszcze realną siłą. Zmiany w strukturze ekonomicznej nie zdołały w nich jeszcze wywołać odpowiednich zmian w psychice nie tylko mas, ale nawet sfer kierowniczych. Pod tym względem, wojna obecna, zwłaszcza jeżeli skończy się klęską Niemiec, odegra z pewnością dużą rolę. Prześladowania religijne, ucisk językowy i t. p. nie mogą istnieć w Anglji nie dzięki jakiemuś specjalnemu idealizmowi, a dzięki temu, że są tam przeżytkiem. W dodatku Anglicy umieją, jak żaden inny naród na świecie, korzystać z nauk, dawanych przez historję. Oderwanie się Stanów Zjednoczonych było dla Anglji bodźcem dla oparcia polityki kolonjalnej na podstawach zupełnego równouprawnienia. Pojęli oni, że najsilniejszym cementem, spajającym państwa i talizmanem dla osiągnięcia władzy nad światem, — jest swoboda rozwoju.

MIECZYSŁAW NIEDZIAŁKOWSKI.

Polityka polska — na Litwie i Białorusi.

2.

Stoimy zatym wobec dziwacznego zjawiska.

Naliczyliśmy sześć głównych prądów miejscowej politycznej myśli polskiej, widzieliśmy, że w znacznej części są one pozbawione organów prasy, organizacji, należą do kategorji, za wyjątkiem grupy *Przeglądu Wileńskiego*, raczej nastrojów, niż koncepcji myślowych; a z drugiej strony skupiona narodowa demokracja i idący na jej pasku konserwatywno-ugodowi „krajowcy“ nie posiadają żadnego — oprócz bodaj troski o interesy klasowe ziemiaństwa — teoretycznego podłoża dla swej polityki praktycznej, i politykę tę prowadzą „od wypadku do wypadku“, to jest absolutnie bezcelowo, bez zasady przewodniej, no i bez skutków namacalnych.

W kwestjach, obchodzących miejscowy ogół, *Kurjer Litewski* nie ma nic do powiedzenia, albo wystarczają mu nacjonalistyczne frazesy, za którymi zresztą nie idzie nacjonalistyczny czyn, chyba za czyn ten uważać bójki z dewotkami litewskiemi po kościołach.

Wszystkie zaś inne odłamy opinji albo nic nie robią, albo też dopiero coś niecoś zaczynają; to ostatnie dotyczy w pierwszym rzędzie sympatyków *Przeglądu Wileńskiego*.

Jeno nieszczęśni rozbitkowie „stronnictwa krajowego“, stanowiący zwartą grupę, niedawno jeszcze pozwolili sobie na parę niesmacznych wybryków swoistych, pozatym wszakże niczym się nie wyróżniają z pośród biernego, wyczekującego ogółu.

Więc opinja publiczna jest niezorganizowana, a silniejsze liczebnie organizacje polityczne nie są kierunkami myśli.

Rzecz jasna, widowisko niepocieszające.

Spróbujmyż określić widoki na przyszłość.

3.

Podkreślałem już parokrotnie, że czas już porzucić pojmowanie roli Polaków na Litwie i Białorusi, jako wysiłku kolonistów, właścicieli ziemskich, oderwanych od podłoża ludowego. Stanowimy tu, co prawda, mniejszość, ale mniejszość bardzo poważną liczebnie, a w istocie znaczącą bez porównania więcej, jeśli weźmiemy pod uwagę swoją wydajność kulturalną; w dodatku, aczkolwiek brak danych ścisłych, można z całą stanowczością twierdzić, że społeczeństwo polskie w tym kraju jest społecznie naogół demokratyczne, a ziemiaństwo—to stosunkowo niezbyt znaczny jego odsetek. Co ważniejsza, proletarjat miejski — klasa w obozie ludowym zwykle najbardziej ruchliwa i umysłowo wyszkolona — należy prawie wszędzie do narodowości polskiej (albo żydowskiej). A więc stanowisko obywatelstwa krajowego wydaje mi się zupełnie uzasadnione; tak wielka masa polska od setek lat czasami tu zamieszkała nie może się czuć obcą swej ojczyznie, nie powinna i nie może nie dbać o jej interesy, przyszły rozwój. Jesteśmy na równi z Litwinami i Białorusinami ludnością rdzenną, mamy prawo i obowiązek być nie tylko obywatelami kraju, ale i jego współgospodarzami, to znaczy, nie wolno nam na barki innych zrzucać całkowitej odpowiedzialności za losy Litwy i Białorusi; wspólny ciężar trzeba dźwigać wspólnie.

I niech nikt nie dowodzi, że, jako mniejszości, wypada nam ze swoimi planami czekać na podobną inicjatywę Litwinów czy Białorusinów; społeczeństwo, kulturalnie stojące wysoko, demokratyczne, owiane duchem wolnościowym, popełniałoby zbrodnię wobec narodów innych, wobec całego kraju, gdyby swe zdolności inicjatywy, zdolności twórcze, dobrowolnie krępowało.

Sądzę, że miejscowa polityka polska winna być samodzielną, pełną inicjatywy, a mającą na względzie i dobro całego kraju, obok dobra własnej kultury.

Warunki zewnętrzne zajęcie takiego stanowiska ułatwiają.

Proces demokratyzacji naszego życia zbiorowego postawił przed polskimi żywiołami postępowymi na ziemiach litewsko-białoruskich ogrom zadań i prac organizacyjnych, których wystarczy na długie lata. Musimy w pierwszym rzędzie podnieść o niebo całe poziom umysłowy i idejowy ludu polskiego, musimy wyrwać ogół własny z odrętwienia, położyć kres monopolowi na patrjotyzm i reprezentację, zagarniętemu przez narodową demokrację. I listę, czekających wytrwałych rąk, zadań możnaby przedłużyć do nieskończoności.

Dlatego to zagadnienie ekspansji narodowej, jako planowej zorganizowanej akcji, nie jest dziś ani realne, ani palące. Jeżeli po latach stanie ono przed nami, prawdopodobnie wówczas dla wielu wątpliwa sprawa przyszłości narodowej ludu białoruskiego znajdzie w tym lub innym sensie rozwiązanie, a to nam znakomicie ułatwi dalsze decyzje i prace.

Na teraz mówienie o konieczności stopniowej polonizacji Białorusinów — to tylko dolewanie oliwy do ognia walk narodowościowych.

Pomiędzy demokracją polską a litewską i białoruską winien stanąć układ wyraźny, uczciwy.

Niech oni nam przyznają prawa współgospodarzy, a my im — samodzielnego rozwoju, równości narodowo-kulturalnej. Więc na we-

wnątrz społeczeństwa polskiego nasze żywioły demokratyczne muszą się wreszcie skupić, zorganizować, ująć w swoje dłonie ster polityki polskiej i berło prac społeczno-kulturalnych, na zewnątrz zaś należy dążyć do skoncentrowania wysiłków demokracji wszystkich trzech narodów w imię pożytku całego kraju.

W naszym interesie leży ciążenie ku kulturze Zachodu, jako drogowskaz dla wszelakich zamierzeń; twierdzę, że taki sam jest interes ogólno-krajowy. Te interesy wytkną linje zewnętrznej polityki polskiej.

Pragniemy stworzyć warunki niezbędne dla pełnego rozwoju trzech twórczych — wierzę — kultur narodowych; warunki te widzimy we zwróceniu aspiracji i marzeń Litwinów i Białorusinów ku zachodowi, więc trzeba nie drogą przymusu, lecz przez swoistą siłę przyciągającą porwać bratnie ludy w wir odpowiednich poczynań i haseł.

Z otwartym sercem, z wyciągniętą dłonią idziemy dziś do nich; pod znakiem tolerancji wzajemnej i wolności niech się spełni przymierze, pozbawione zadawnionych uraz i nieufności.

Oto cel konkretny...

Społeczeństwo polskie w „kraju północno-zachodnim" zbyt długo trwało w bezmyślnej apatji i bierności. Idą młodsi i żywotniejsi... My już nie chcemy jeno „trwać" i płakać, bo nam się od ławy szkolnej śniły wielkie zamiary i potężne prace. Ponad nacjonalistyczne krzyki, ponad stargane proporce bezsiły wznosi się jasny sztandar nowej Polski, już zdolnej do podjęcia swej wzniosłej, wolnościowej, cywilizacyjnej misji, do pchnięcia na tory intensywnego, twórczego życia zaspanych, znękanych litewsko-białoruskich dzielnic.

Litwini i Białorusini, ufamy, odczują czystość naszych intencji, zrozumieją, gdzie leży ich własna przyszłość świetlana.. Nie wolno jeno zamykać oczu na ogrom niezbędnej pracy,— na całkiem nieobmyśloną i niejasną kwestję granic wschodnich, przedewszystkim, Białorusi i wiele, wiele innych rzeczy...

Współpracownik petrogradzkiego G ł o s u P o l s k i e g o miał wywiad u posła Milukowa. Oto co odeń usłyszał na temat sprawy żydowskiej w Polsce, pardon!— „nad Wisłą": „Stoimy na tym gruncie — oświadczył p. M. w imieniu partji kadetów — że nad Wisłą są nietylko wyłącznie Polacy, lecz istnieje tam również inny naród: Żydzi, którzy mają prawo do uwzględniania ich i uznania jako narodu mniejszości nad Wisłą." Słowa te są tem charakterystyczniejsze, że ukazuje się w nich j e d n a miara, stosowana do n a s z e g o kraju. Albowiem druga — dla Rosji — ukazuje się wyraźnie, gdy p. M. zatrąca o sprawę zniesienia „granicy osiedlenia". Mówi wiedy p. Milukow: „K w e s t j a t o s k o m p l i k o w a n a i wymaga unormowania od podstaw, głębszego." A zatem: „Nad Wisłą" sprawa żydowska jest kwestją prostą i jasną, w Rosji — kwestją skomplikowaną!

(G. B.)

IGN. CHRZANOWSKI.

Dwie książki o filozofii religii.

Ciąg dalszy.

II.

«Czytając *Dumania* Gołuchowskiego — mówi ks. Gabryl—po Trentowskiego *Vorstudien* lub *Chovannie*, ma się mimowolnie to wrażenie, że po męczącej podróży wśród oślepiających piasków Sahary naraz stanęło się w pięknej, miłej, zewsząd zacienionej, oazie przy ożywczem źródełku» (II, 70). Niechaj wolno będzie powiedzieć otwarcie, że (o ile się, naturalnie, godzi ufać własnemu doświadczeniu) takiego właśnie wrażenia dozna ten, kto, po przeczytaniu *Polskiej filozofii religijnej XIX wieku* ks. Gabryla, zacznie czytać *Pesymizm, romantyzm a podstawy chrześcijaństwa* prof. Zdziechowskiego. A tłumaczy się to wcale nie tem jedynie, że prof. Zdziechowski posiada talent pisarski, którego ks. Gabryl nie miał ani na lekarstwo, ale nadewszystko odmiennym, bardzo odmiennym, stosunkiem dwu różnych pisarzów i dwu różnych ludzi do przedmiotu badań

Ks. Gabryl, jak widzieliśmy, rozpatruje w swej książce religię i jej filozofię ze strony, jeśli nie wyłącznie, to nadewszystko, rozumowej, za główny probierz jej wartości poczytując zgodność jej nauki z dogmatyką katolicką. Prof. Zdziechowski tymczasem rozpatruje religię i jej filozofię ze strony, jeżeli nie wyłącznie, to nadewszystko, moralnej, za główny probierz jej wartości poczytując jej dobroczynny wpływ na duszę ludzką; i takie właśnie stanowisko — narówni z szerokością umysłu—pozwoliło mu, jak to zaraz zobaczymy, uznać istotne walory religijne tam nawet, gdzie o prawowierności katolickiej mowy niema.

Ale nie dosyć na tem. I uczuciowy stosunek do religii i jej filozofii jest inny u ks. Gabryla, a inny u prof. Zdziechowskiego, co też musiało wycisnąć bardzo wyraźne piętno na obu książkach. Ks. Gabryl bada zjawiska religijne i filozofię religii formalnie i szablonowo, poprzestając na rozumowej analizie różnych poglądów i na sądzeniu ich wiadomą już miarą, — uznaną wprawdzie i dobrowolnie przyjętą przez własny intelekt, ale będącą pomimo to miarą, narzuconą z zewnątrz; dlatego też właśnie z jego książki wieje taki przykry chłód, taka jakaś obojętność wobec filozofii tego zjawiska duszy ludzkiej, które przecie za alfę i omegę życia z pewnością uznawał. Co za porównanie z książką prof. Zdziechowskiego! Autor, biorąc religię przedewszystkiem ze strony moralnej, mówi o niej, nie tyle jako o doktrynie, czy systemie filozoficznym, ile przedewszystkiem jako

o czemś przeżytem, jako o stanie duszy; nie poprzestaje na rozumowej analizie nauki religijnej, rozumiejąc bowiem, że istotę religii stanowi nie system prawd martwych, tylko prawdy żywe, mierzy jej wartość — własnem sercem, własnemi, obfitemi i głębokiemi, przeżyciami religijnemi. Duch katolicki książki prof. Zdziechowskiego ma swoje źródło nie w sądzeniu poglądów religijnych miarą nauki dogmatycznej, tylko we własnem uczuciu, mianowicie w niezmiernie gorącem przywiązaniu do Kościoła katolickiego, w głębokiem przeświadczeniu o boskości jego początku i o świętości jego powołania. Dodajmy do tego jeszcze bardzo żywy temperament tego pisarza, jego już nietylko religijność, ale wogóle uczuciowość, jego szlachetny idealizm w poglądzie na świat, nie mający nic wspólnego z tanim optymizmem, i wreszcie jego szeroki umysł, wolny od wszelkiego sekciarstwa czy zaślepienia, a zrozumiemy, jak piękną książkę musiał napisać o przedmiocie, od dawna umiłowanym i przez długie lata badanym; zrozumiemy, że z tej książki nie może wiać chłód, że musiało ją nawskroś przeniknąć nie tylko uznanie przez intelekt, ale i odczucie przez serce — świętości religii. I śmiało można powiedzieć, że, chociaż obydwie książki mówią o literaturze religijnej, tylko jedna z nich, prof. Zdziechowskiego, nie ks. Gabryla, sama należy do literatury religijnej, nie zaś tylko do naukowej.

Myśl napisania książki, którąby dała czytelnikowi polskiemu poznać i pozwoliła mu ukochać najpiękniejsze owoce pracy głębokich umysłów i szlachetnych serc europejskich XIX wieku w zakresie religii, — dawno już, jak wolno mniemać, tkwiła w umyśle autora; zagadnienia religijne zawsze pociągały go najwięcej ze wszystkich, co też się wyraźnie odbiło na wszystkich niemal jego dawniejszych pismach, i co im nadało bardzo swoistą barwę. A polega ta swoistość na tem, że w analizie czy to poszczególnego utworu, czy całokształtu działalności pisarza, na pierwszy plan wysuwa się zawsze, mniej lub więcej wyraźnie, mniej lub więcej bezpośrednio, świadomie czy nieświadomie, zagadnienie, jaką wartość dla życia, mianowicie wartość religijno-moralną, ma dzieło sztuki czy myśli: cechy tej dopatrzeć się można już w dwutomowej monografii p. t. *Byron i jego wiek*, a potem w *Szkicach literackich*, tembardziej w *Mesyanistach i słowianofilach*, a zupełnie już wyraźnie w książce *U opoki mesyanizmu* i w *Wizyi Krasińskiego*. Krótka zaś, lecz świetna, niezmiernie obfita w myśli, odznaczająca się niezwykłą, jak na nasze stosunki i na nasz charakter, odwagą cywilną, broszura p. t. *Pestis perniciosissima, rzecz o współczesnych kierunkach myśli katolickiej* (1905), jest już jakby zapowiedzią książki, o której mówimy, zawiera w sobie bowiem te same główne myśli, co ona: to samo głębokie przeświadczenie, że istotę religii stanowi jej strona irracyonalna, moralna, nie zaś intelektualna, i, co za tem idzie, ten sam protest przeciwko jej racyonalizowaniu i suchemu dogmatyzmowi; ten sam postulat wolności sumienia; ta sama cześć dla ideału chrześcijańskiego miłości; to samo gorące przywiązanie do Kościoła katolickiego, nie wykluczające wszakże jasnej świadomości jego współczesnych stron ujemnych.

W szczegółowe streszczanie książki prof. Zdziechowskiego zapuszczać się nie będziemy. Aby dać ogólne pojęcie o jej treści tym, którzy jej nie czytali jeszcze, wystarczy nadmienić, że jej pierwszą tezę, historyczną, możnaby ująć w sposób następujący.

Po epoce racyonalizmu, epoce «oświecenia», której potrzeby religijne były minimalne, która też nie rozumiała, a przedewszystkiem nie odczuwała, co to jest prawdziwa religia, przyszła epoka inna, zainaugurowana już w XVIII w. przez Kanta, jako autora *Krytyki praktycznego rozumu*, a przypadająca — w rozkwicie swoim — dopiero na wiek XIX, epoka, w której religia stawała się coraz to silniejszą potrzebą duchową ludzkości, w której też odrodziła się — w najszlachetniejszych sercach wieku. Olbrzymią rolę w tem wielkiem dziele odrodzenia religii odegrały dwa prądy myśli europejskiej i wogóle ducha europejskiego XIX stulecia, pesymizm i romantyzm. Pesymizm, który zrazu odwodził od Boga, wreszcie doprowadził do Niego: «pesymistyczna świadomość, — mówi autor — że świat w złem leży, wzywa do modlitwy i pogłębia jej moc, aż sama, pokonana przez nią, przeistacza się w podstawę, na której wyrasta optymizm afirmacyi Boga, opartej na bezposredniem doświadczeniu, zdobytem w walce ze złem» (II, 372). Co zaś do romantyzmu, to przecie istotę i nieśmiertelną zasługę tego wielkiego prądu stanowi walka o uznanie wartości życiowej irracyonalnych pierwiastków duszy ludzkiej, walka o ich niezaprzeczone prawo do udziału w budowie życia, prawo, którego racyonalizm albo świadomie nie uznawał, albo które nieświadomie zapoznawał; śmiało powiedzieć można, że, gdyby nawet romantyzm bezpośrednio nie podjął z biegiem czasu problematów religijnych, to i tak, już przez to jedno, że wyzwalał pierwiastki irracyonalne z pod despotycznej supremacyi rozumu, oddając im nawet czasem berło królewskie w życiu, walczył *eo ipso* o religię i wskrzeszał ją z tego grobu, w jakim ją zamknęło, a przynajmniej zamykało, oświecenie. Otóż na gruncie, przygotowanym, użyźnionym i zasianym przez romantyzm i pesymizm, wzeszła, rozkwitła i dojrzała wspaniała myśl religijna XIX wieku, z której wybitnymi przedstawicielami autor obznajmia czytelnika. A przedstawicielami tymi są: w części pierwszej książki *(Geneza pesymizmu)* — Kant, Fichte, Fryde-

ryk Schlegel, Schleiermacher, Novalis, Schelling (w pierwszym okresie swojej twórczości), Hegel, Schopenhauer; w drugiej *(O duszy świata i jej upadku)*, poprzedzonej wyjaśnieniem poglądów św. Augustyna na zło,—Schelling (w drugim okresie), Secrétan i Sołowiew; w trzeciej *(Przez pesymizm do chrześcijaństwa)* — Wagner, Tołstoj i Eucken; w czwartej *(Nowe prądy myśli katolickiej)* — Newman, Olle Laprull, Blondel, Laberthonnière, Tyrrell; w zakończeniu, będącem syntezą całego dzieła, znalazło się miejsce na Towiańskiego.

Mniemamy, że samo już przytoczenie nazwisk tych przedstawicieli myśli religijnej, o których mówi w swej książce prof. Zdziechowski, będzie bardzo wymowne, zwłaszcza, jeśli dodamy, że autor każdemu z nich — nie z równą sympatyą (której utaić nie pozwala mu ani jego żywy temperament, ani jego uczciwość), ale z równą bezstronnością — przyznaje taką lub inną zasługę w wielkiem dziele budowy nowoczesnej kultury religijnej; ale bo też znamienną i piękną cechą umysłowości i religijności autora jest, że, mówiąc słowami Towiańskiego, «szuka Kościoła wszędzie, gdzie on jest, pod jakąbądź formą i nazwą żyje i objawia się».

Więc np. Kant, zdaniem prof. Zdziechowskiego, «wywodząc religię z głębin świadomości moralnej, określając ją, jako uznanie powinności za przykazanie Boże, czyniąc ją najwyższym wykwitem cnoty, utorował drogę temu pogłębieniu, rozszerzeniu i wzmocnieniu uczucia religijnego, które się dokonywać zaczyna teraz, gdy ewolucya myśli wezwała tych wszystkich, którzy w religii najcenniejszą skarbnicę życia duchowego uznają, do przeniesienia jej z mniej więcej kruchych rozumowych podstaw do głębin sumienia; w tem znaczeniu filozofia Kanta jest odmładzającą krynicą: wobec zewsząd wywieranych napaści przeciw afirmacyi wyższego, pozafenomenalnego świata, która stanowi ostoję i dostojeństwo nasze, znajdujemy w niej moc do odpierania ich i do niesienia ludziom dobrej nowiny» (I, 30—31); Schopenhauer «stworzył filozofię, która powołaną była, choć sam jej twórca wiedzieć o tem i myśleć nie chciał, do skierowania myśli napowrót ku Chrystusowi i do pogłębienia filozofii chrześcijańskiej» (I, 124); a jego «głębokie wniknięcie w bezdenne głębie cierpienia i... wydobycie z nich nowego poglądu na świat i życie... można porównać z otwarciem okna, dzięki czemu stęchlizna domu przeczyszcza się świeżym prądem powietrza» (I, 188); Tołstoj, który kazał szukać dowodu istnienia Boga nie w rozumie, tylko w sercu, był przez to zwiastunem kierunku, «który, zaznaczając się coraz silniej we współczesnej myśli katolickiej, jest reakcyą przeciw scholastyce, przeciw intelektualistycznemu traktowaniu zagadnień najgłębszych, tych, co sięgają poza powierzchnię zjawisk» (II, 99); «bez końca spierać się można z Tołstojem, jako filozofem, teologiem i egzegetą,... ale nie wolno mierzyć się z nim, jako moralistą; cnoty, które on głosi, są to najwyższe wykwity chrześcijaństwa» (II, 106 — 107); «nie znamy pisarza, którýby tak odczuł obrzydliwość grzechu i z taką energią głosił absolutny charakter prawa Bożego, prawa miłości» (II, 105).

D. n.

W d. 25 b. m. zmarła w Warszawie Paulina Sieroszewska, publicystka i — w ciągu lat kilku—kierowniczka Prawdy, potem zaś współpracowniczka Kultury Polskiej i Humanisty Polskiego. Wykształcona na wzorach angielskich, obdarzona niepoślednim talentem literackim, była cenną siłą na polu oświaty i kultury polskiej. Gdziekolwiek stanęła, wszędzie grunt pod jej stopami zamieniał się w szlachetny posterunek walki o dobro kraju. Wierna przekonaniom swoim aż do śmierci, nigdy nie dała się skusić złudnym widokom kompromisu lub oportunizmu. Charakter jej był niepożytym uosobieniem mocy, konsekwencji i niezłomności. Walcząc przez całe życie z ciężkimi warunkami bytu, Paulina Sieroszewska, spartańskiej prostocie wymagań zawdzięczała równowagę ducha: wiele żądając od siebie, tym hojniej szafowała zasobami swego ducha i serca. Zasługi, jakie dla kultury polskiej położyła, przekraczają ramy tego, co w dniu dzisiejszym powiedzieć można. Oby jaśniejsze niebawem Jutro barwami jaśniejszymi dać mogło pełny wizerunek tej kobiety-obywatelki!

Prawda, że bezdomni niechętnie wyjeżdżają z Warszawy do ofiarowanych im na Litwie i Białorusi zajęć; ale—prawdą jest i to, że zajęcia te , wywołują nadmiar rąk roboczych, pozbawiają pracy tych, co ją dotąd mieli i—tworzą nowe zastępy bezdomnych.

Prawda, że chłopi obdzierają poległych; prawda, że nieraz grabią domy, porzucone przez uciekających mieszkańców; ale prawda i to, że niejeden kupiec bogaci się przez niepomierne zwyżki cen na artykuły niezbędnej potrzeby.

Prawda również, że obywatele ziemscy obniżają płace pracownikom, mając do wyboru całe zastępy bezdomnych; prawda też, że inni możni „chlebodawcy" utrzymują szpitale dla rannych za sumy, „zaoszczędzone" dzięki obcięciu płac lub zmniejszeniu liczby pracowników w przedsięwzięciach rolnych lub przemysłowych.

A la guerre comme à la guerre.

(B. L.)

JADWIGA MARCINOWSKA.

„Ankieta".

Dawnym nałogiem pyta Polska cała:
co dzisiaj myśli Warszawa?
Ta Polska w łunach rozgorzała,
w potokach ze krwi jaskrawa;
jednakże tęsknie zblizka i zdaleka
chwyta z Warszawy echa... i... i czeka.

I gdyby była dzisiaj — myśl w Warszawie,
to może w Polsce stałby się stąd czyn...
A więc pytają ciekawie
i radzi pozbyć się gnuśności win,
i już coś zdziałać są gotowi prawie.
Ale w Warszawie...

Przybywasz do rogatki stolicy kochanej
po dłuższej podróży;
słuchasz: pewno doleci jakiś głos ci znany...
Co tu w Warszawie się wróży?
co się dla kraju święci i wskazuje — dzieło?
jaka wskazówka wielka i mocna podnieta?
Przyszła wiadomość, coś o bruk zgrzytnęło:
«Śród literatów ankieta!»

Dziwne! jak wiele czasu ma Warszawa!
jak ma humoru wiele w takim czasie!
A może tutaj jeno bajką zda się
ta bardzo brzydka i prawdziwa sprawa:
że polski chłop ostatni ziemniak je bez soli,
że po spalonej chacie komin sterczy dumnie,
że każdy się zawaha, zanim powie: u mnie,
bo gdzie jest polskie «moje» zgadnąć nikt nie zdoli...

. . . .
. . . .

W Warszawie rzecz pilniejsza; trzeba niezmącony
utrzymać ton kurjerko-kawiarnio-rautowy!
Pod ręką trochę oszczerstw, gdy z pokątnej strony
ktoś tam śmie przebąkiwać o walce Kainowej...
Ale zresztą kultura w kurjerkowym stylu:
uszczknąć, co się przydarza,
tak z brzegów rany, jak i z nad kałuży;
łezka, westchnienie, ach! dla nieszczęść tylu
i zapytanie ludziom z kałamarza:
«Jakże panu czas wojny na talenctk służy?»

O! o! Mars czoła: *Pomyślę, odpowiem...*
Zapas się zbiera!... — Będą urodzaje
w ojczystej literaturze,
Której pan chlubą jesteś! — To są duże
trudy myślenia... Zbieram, zaraz kraję,
gdzie, co, do czego, odkrawam, albowiem
jedno przydatne będzie na nowelę,
drugie na dramat. Wszystko w sobie mielę:
wrażenia, smętki te i zgrozę, łzy;
z tego tomików będzie dwa lub trzy...

Pan literat odważnie czyta telegramy,
z sanitarjuszem jeździ badać skaleczenia,
ogląda zapytując: «To... czerwone... boli?»
Wrażeniom nie kładzie tamy,
napęczniał od nich! Wszystko pilnie zmienia
w swój śpiżarniany zapas... Ma dowoli?
Nie! jeszcze to i owo, a więc chłonie...
Ach! na pozycje chciałby... tak, w ogonie
aljanckich reporterów... Usłyszeć kul zgrzyty,
doświadczyć zabijania, nie będąc zabity...

To są bardzo subtelne, bardzo mądre troski!
Za wiele komplikacji na tak prostą sprawę,
jaką jest dzisiaj Polski treść... Bo odkąd boski
istnieje świat, nie było rzeczy nad to krwawe,
prostacze zapytanie prostszej: tak lub nie?
żyć albo zczeznąć?
Zamiar wasz w dalekość mknie:
dać krajowi literaturę,
kędy wojnę dzisiejszą w powieści, dramacie,
sensacyjnie, ciekawie... Ależ, literacie!
tutaj pytanie blizkie i — ponure:
kto będzie czytał? «Jakto?» Wzrok zaświeci
dumę autorską: «My i nasze dzieci».
— Znów troska się nie odwleka;
do czytania potrzeba pono czytelnika... człowieka!
Dziś widzim sprawę prosto postawioną:
być albo nie być — ludźmi.
«My?»
My.
«A więc czemżeśmy? jakieś cienie, ćmy?
— Jesteśmy rzeczą...
«O!»
— Przedmiotem
podatnym ręce i — nodze...

. . . .
. . . .
. . . .

Literacie! jeżeli trudy... powieściowe
nie całkiem ogoliły z włosów twoją głowę,
może ci teraz włos ten z ludzkiej grozy wstanie
i przyjdzie na cię krótkie, straszne zadumanie,
nie o noweli, która kędyś w tece czeka
na hołd gotówką lub... czekiem,
lecz o tem, iż nie rzeczą chcesz być, lecz czło-
[wiekiem
i mieć w rodaku człowieka...

I jeżeli «ankieta» ma być, to niech będzie
nie do tych z atramentu, lecz do owych z krwi!
Może się przecież choć nie w pierwszym rzędzie
to gdzieś w zakącie znajdzie pomruk lwi;
ozwie się w swojej mowie,
jakiś człek na swą ludzką, polską godność czuły
po prostacku wam powie,
że pogardza sercami i mózgi — z bibuły!

W. ROGOWSKI.

Dość pracowitego — próżniactwa!

Znienacka nadszedł czas, w bajkach jeno znany, gdy pieczone gołąbki same latać poczęły do gąbki.

By sytym i ogrzanym być, wystarczy, w noc, czy we dnie, na umówione miejsce pójść, potrzykroć nizko się pokłonić, zapukać, wyszeptać tajemnie: „Sezamie, otwórz się!"—a oto raj skie wrota się rozewrą i szczęśliwość wszelką uprzystępnią.

Jeden tylko warunek stawia żywa bajka: palcem, człecze, nie kiwniesz i roboty nijakiej nie podejmiesz, choćby cię ogniem piekielnym straszyli.

Przeszły te czasy, gdy człek pracą musiał się hańbić, a darmo stawiali domy tylko dziadówkom i paralitykom. Dziś przyszedł czas sprawiedliwości wielkiej, teraz o zdrowym i silnym a roboty sposobnym myślą inni, dla niego domy stawiają, jeść, spać dadzą. Jeszcze trochę, a prosić poczną, byś pieniądze w gotowiźnie brać raczył.

Jeno się pracą nie zhańb, nizko się kłaniaj i cichuteńko, na ucho, szeptaj: „Sezamie! otwórz się".

Jak w bajce!

Ale i w bajce przewidziano tę smutną ewentualność, że szczęście może się popsuć, a zamiast pieczonych gołąbków, mimo wszystkie zaklęcia, raptem się kije-samobije zrywają i grzmocą skórę szczęśliwca zawiedzionego, — kończy się marzenie i, biedak, musi imać się ciężkiej pracy, stokroć teraz cięższej.

Tak w bajce!

Nie w bajce to, a w rzeczywistości, jako wynik nieskończonych zasług warszawskiej dobroczynności, przyszła ta chwila.

Któż u nas myślał o uprawie polskiej gromady, o wyszukiwaniu najlepszych, najsilniejszych, najzdolniejszych, by ułatwić im byt dla dobra Narodu? Kto krytyce poddawał działalność obywatelską instytucji kulturalnych i cywilizacyjnych, — owe reduty polskiego dorobku, powołane ku temu, by siły mnożyły? Kto pytał polskiego artysty, czemu zagranicę wiezie skarb dziedziczny, by obcym sprzedał — za grosze?

Królowała łaskawa, hojna filantropja!...

Jej to potędze musiał do zdechu służyć twórca nasz miarą talentu, by go rodacy widzieli. Przed nią się korzyć i w cień się usuwać wszelka inicjatywa czynu—prawo zdrowego.

Wysoko, nad tłumy postawiono szeregiem pozłociste siedziska, kołtuniaste dziady, struchlałe staruszki, potwornie skręcone kaleki i stępiałe idjoty, rzędem usadzono. Przed nich trybularze i wszelkie hołdy znoszono. Zabijano się i łokciami parto w pośpiechu, by nizko się nędzy pokłonić, starości i niedołęstwu.

A ze skarbca, czubatego złotem, kradł zimną dłonią, na wszystko szczwany złodziej.

W królewskiej hojności nie chciała wiedzieć prawica, co czyni lewica... Protekcja waśnie godziła, słabych wspierała, surowe oblicze sprawiedliwości ku silnym zwracała.

I oto czasów tych przyszło żniwo. Lecz co zbierać będą na posiew?

Dziś na sprawy duchowe nie czas:—jutro!

Zupełnie jak w bajce.

Tak samo rozmyślał pies, gdy budę trzeba było stawiać. W zimie czekał lata, a w lecie uważał rzecz za zbyteczną.

Jakoś to będzie. O przyszłości czas będzie pomyśleć później, a teraz trzeba myśleć o dniu dzisiejszym.

To nic, że całe rzesze, całe warstwy społeczne—rzucają pracę, bo darmochą żyć im dadzą, stoły — jadła wszelakiego pełne — zastawią.

I nic to także, że pedagog, lekarz, adwokat, malarz, muzyk, czy też rzemieślnik, robotnik musi w bezczynie wyrodnieć.

Niech odłogiem ugorują siły: — przyjdzie na nie czas!

A choć ktoś tam dowodzi, że samym chlebem człek nie żyje—my żyjemy. Sprawa narodowa—to zabawki, dziś na to nie czas!

Inna rzecz, że pewien przemyślny księgarz, dobrze na tej kulturze spasiony, wali z kopyta do hojnych rozdawców po zasiłek dla „podupadłej księgarenki". Uprzednio wyrzucił połowę pracowników, drugiej—połowę obciął zarobków.

Zupełnie w stylu dobroczynnym.

Za wzorem tym idzie Tow. Kredytowe Ziemskie, wyrzucając ludzi i tworząc synekury „delegatów".

Za wiarą w dobroczynność — podąża protekcja.

Że milczą usta, chcecie to mieć za objaw zgody? To nieprawda. Ustom mówić niewolno, by obcym nie wyjawiać własnej hańby. To, co powstało doraźnie, dalekie od doskonałości, nie przetrwa, gdy zmiany będą możliwe. I dla tego też lepiej byłoby już dziś pomyśleć o rachunkach moralnych, które złożyć będzie trzeba i wziąć odpowiedzialność.

Dość pracowitego próżniactwa.

Już najwyższy czas oddać ruble i ofiarne siły, według miary i wartości, licznym towarzystwom i instytucjom naszym, by te zastosowały je do potrzeb. Głodni zostaną nakarmieni, nadzy odziani i bezdomni—schronieni, lecz wypędzony będzie nierząd i anarchja, które grożą przyszłości.

Orjentacja himalajska.

Pan Tadeusz Miciński, autor powieści: «Nietota» oraz b. wice-prezes Towarzystwa słowiańskiego w Warszawie, wystosował w Nr. 7 *Kurjera Porannego* (przedrukowany w Nr. 14 *Gazety Warszawskiej*) trzyszpaltowy «List do współrodaków». Wobec niezwykle ciekawej treści tego dokumentu, śmiem podać z niego czytelnikom najbardziej znamienne wyjątki.

«Czy rząd pruski tylko do Rumunji i Bułgarji rzuca miljony na przekupstwo?

Niegdyś dyplomaci pruscy kryli się u nas za reformą 3-go maja.»

Z tego zestawienia wynikałoby, że twórcy konstytucji Trzeciego Maja byli przekupieni przez Prusaków. Jest to szczegół nowy, poza tem historjozofja nienowa. Już p. Marylski-Łuszczewski wyjaśnił na szpaltach *Gazety Warszawskiej*, że tak zwane dotychczas walki o niepodległość były tylko dziełem Żydów i masonów. P. Miciński więc tylko rozwija dalej wstecz analogiczną teorję.

Natomiast zupełnie nową rzeczą jest, że p. Miciński upatruje swoich poprzedników na polu słowianofilstwa w Batorym, Mickiewiczu i Bolesławie Chrobrym.

«Mamy ideę słowiańską w pysznych słowiańskich historjozofjach Batorego i Mickiewicza, mamy ją w dawnej rycerskiej idei Bolesława Chrobrego, mamy ją przed sobą w rzucie przed się ku morzom i bezkresom, gdzie żyją słowianie.»

Nie śmiem przeczyć p. Micińskiemu co do jego rzucenia się. Natomiast historja cokolwiek przeczy jego powoływaniu się na wyżej wymienionych poprzedników.

Batory nie był słowianinem, ale Węgrem. Żadnym słowiańskim językiem nie władał. (Z Polakami porozumiewał się po łacinie.) Trudno zaś uważać za «pyszną słowiańską historjozofję» z jego strony, że prowadził trzyletnią krwawą wojnę z Rosją i carem Iwanem Groźnym.

Mickiewicz również nie zasłużył na to, aby go p. Miciński uznał za swego poprzednika. Mickiewicz, (o ile dotychczas było wiadomo), umarł w Konstantynopolu podczas wojny Krymskiej, organizując legjony polskie, które miały walczyć przeciwko Rosji.

A zatem Mickiewicz popełnił zbrodnię przeciwko idei słowiańskiej.

Bolesław Chrobry walczył wprawdzie z Niemcami, ale walczył i z Rusią. W bitwie nad Bugiem zwyciężył Jarosława, mając po swojej stronie posiłkowy oddział 300 rycerzy niemieckich. Czyli, że i Bolesław Chrobry zdradził sprawę słowiańską. Wreszcie, wracając z Kijowa, przyłączył napowrót do Polski «grody czerwieńskie», które za Mieszka I-go Włodzimierz, według świadectwa ruskiego latopisa Nestora, zdobył na Lachach, a które po wielu zmiennych kolejach teraz dopiero zostały odzyskane dla słowiańszczyzny, dzięki szabli generała Ruzskiego . . . .

To małe zaćmienie pamięci autora «Nietoty» nie powinno jednak zmniejszać szacunku, jaki dla niego czujemy, jeżeli zważyć i świeże jego zasługi, i ciężkie moralne przejścia, o czem sam nas informuje w następujących słowach swego listu:

«W Moskwie dwukrotnie miałem odczyty, wykazujące skarb ducha słowiańskiego w Polsce i w Rosji.

Mówiono, iż więcej zrobiłem dla sprawy polskiej, niż niejeden zawodowy dyplomata.

I cóż? W Warszawie natrafiłem na gorycz i złe spojrzenia.

Czego ci ludzie odemnie chcą?

. . . .

Więc wystawiajcie gilotynę, wezwijcie Robespierrów, których tylu znajdzie się w każdej garkuchni umysłowej, i tnijcie głowy, rwijcie serca — twórzcie z wątroby przyszłą krainę.

. . . .

Na ulicach rządzą niewiadomi, niezadowoleni, burzliwi politykomani.»

. . . .

Tu pan Miciński jednak daje się trochę unosić nerwom. Na ulicach nie rządzą żadni niewiadomi politykomani, ale dobrze znani w każdym cyrkule rewirowi i stójkowi. «L ordre regne à Varsovie», jak powiedział nieboszczyk Sebastiani.

Autor «Nietoty» powiadamia zarazem czytelników:

«Rozwija mi się nostalgja za Oceanem. Mam możność być jeszcze artystą, choćby na Taiti.»

Wierzymy najzupełniej, że pan Miciński będzie wybitnym artystą na Taiti. Tylko jak to pogodzić ze słowianofilstwem? Wszak na Taiti niema jeszcze braci słowian.

Jednocześnie zaś śmiemy zwrócić uwagę autorowi «Nietoty», że radzi on współrodakom «tworzyć sojusz z Himalajami» i «rozszerzyć Komitet Narodowy do rozmiarów istotnej Rady Narodowej».

Któż tę myśl «sojuszu z Himalajami» potrafi odpowiednio przeprowadzić w «Komitecie Narodowym», jeżeli p. Miciński wyemigruje na wyspy Oceanu Spokojnego? Miejsce autora «Nietoty» winno być nie na Taiti, ale w Warszawie w «Komitecie Narodowym».

(*«Ziemia Lubelska»*).

Gazeta Warszawska uważa swą opinię za tak dalece kompromitującą, — że gdy chce komuś dokuczyć, powiada z jadowitą radością: „Podzielam pańskie zdanie“.

PASQUINO.

Przechadzka po pustyni.

Jeżeli naród nasz można niekiedy porównać do rumaka, który, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, pędzi przed siebie na oślep, to prasa kurjerkowa w Warszawie może być porównana tylko do małpy, która uczepiona do grzbietu tego rumaka pobudza go wrzaskiem do jeszcze szybszego pędu. I kiedy przed rozszalałym biegunem, zamiast łąki kwiecistej, otworzy się nagle ziejąca otchłań, skoczy w nią bez wahania. Małpa jednak znajdzie zawsze dość czasu, aby w ostatniej chwili uczepić się chwytliwym ogonem za przydrożne drzewo. Koń bowiem jest szlachetnego, rycerskiego rodu—a małpa jest małpą.

* * *

Kiedy przed wojną dziennikarz warszawski marzył o wynalezieniu takich cudownych nożyc, którymiby mógł wycinać odrazu z niemieckiego na polski — teraz, dzięki przykrej sytuacji politycznej, w niemałym znalazł się kłopocie. Nie wypada sięgać ani po *Freie Presse*, ani po objawienia Hardena. Rad nierad sięgać musi do obozu «koalicji». Wycina tedy z *Russk. Słowa*, rzadziej z *Times'a* i *Excelsiora*. Im zaś szerzej i częściej wycina, tym za bardziej ciętego uchodzi. Śród poszukiwań owych jedna tylko myśl nie postała w móżdżku dziennikarza warszawskiego: żeby wyciąć coś z własnej głowy.

* * *

Pewien dziennikarz warszawski wybrał się na Pragę. Zobaczył tam jednak tyle nieznanych mu obyczajów i widoków, że z przerażeniem zawołał do siebie:

— Hola! cóż czynię nieopatrzny! Nie należy w czasach tak niepewnych podróżować po obcych krajach!...

To powiedziawszy, wrócił co rychlej na Krakowskie Przedmieście.

* * *

W Towarzystwie Dziennikarzy i Literatów w Warszawie urządzano niejednokrotnie zebrania dyskusyjne na temat zaniku naszej prasy w chwili obecnej. Ponieważ jednak nie wyłonił się stąd ani jeden pomysł twórczy, niebawem owe zebrania dyskusyjne stały się same żywym świadectwem jałowizny.

* * *

Wielu naszych dramatopisarzów i recenzentów teatralnych, nie mając na razie nic lepszego do roboty, zabrało się ze zdwojoną energją do pisania o polityce. Tym się właśnie tłómaczy, że w ich wystąpieniach tyle jest teatralnej skandaliczności i że z histerją teatralną zarzucają apolityczność tym wszystkim, których nie przywykli spotykać za kulisami Teatru mniej lub więcej Małego.

* * *

Pewien ironista, który po Bolesławie Prusie objął w *Tygodniku Illustrowanym* feljeton stały, w ostatnim swoim utworze nie ma nic do zarzucenia społeczeństwu polskiemu, poza tym, że zakłada się u nas za wiele... sklepów z wędlinami litewskimi. Jakaż szkoda, że przy tej okazji i własną uwędził... satyrę.

* * *

Zdawało się już, że w gwarze wojennym przynajmniej ona jedna zginęła na zawsze, jak mizerny robak rozdeptany ważką stopą doniosłości. Zdawało się, że podcięta u korzenia więdnie już nasza wzmianka, wzmianeczka warszawska, jedyny nasz oryginalny, niepodobny do niczego, arcytwór kulturalny. Ona, która przez tyle lat szemrała, jak kropla deszczu w rynnie i, jak kropla deszczu spadała miarowo na biedne, kołowate mózgi czytelników — ona klepała przyjaciół po ramionach, o nienawistnych sobie milczała, dopomagała z upodobaniem w karjerze tym wszystkim, którzy przeciskali się uzbrojeni w mocne łokcie, lizała stopy wielkościom, łechtała po łydkach aktorki, kadziła recenzentom teatralnym w przeddzień wystawienia swego dramaciku, obwąchiwała buduary prymadon, obśliniała systematycznie każdą sprawę, złą czy dobrą, to jej było wszystko jedno, płakała na wszystkich jubileuszach, obchodach, plugawiła każdą ważniejszą chwilę w życiu narodu, zachwycała się tem wszystkiem, co było beznadziejnie szare, nudne i głupie — aż w końcu wszystkie polskie mózgi uwierzyły w to, że już narzekać nie należy, bo przecież jest u nas miło, ciepło, zacisznie i zamożnie! Tyle mamy talentów, zdolności, tyle zasobów. Sławę naszą roznoszą po całym świecie wygnańcy, malarze, śpiewacy, atleci, pisarze. Pocóż się niepokoić, wszystko jest w porządku — w zupełnym porządku! Nasz byt, to rozkoszna drzemka po dobrym obiedzie. Pocóż się kłócić! Jeżeli ktoś tam za głośno krzyczy, że pomiędzy nami jest jakiś genjusz nieznany, to lepiej go uznać—dla świętego spokoju.

Trzeba dać o nim wzmiankę!

A potem niech go djabli wezmą i — koniec!

Ach wzmianko, wzmianeczko warszawska!

Zbyt jesteś potrzebna i uzasadniona, abyś nie przegadała nawet armat.

Oto się już znowu szwenda za kulisami, jak za starych, dobrych czasów.

Już tam ktoś komuś bąknął delikatnie:

— Ja ci reklamuję twój sklepik, a ty mnie za to zaliczkę...

I dalej, tak dalej...

Bo czyż może zamilknąć to, co jest właściwie najżywotniejsze pomiędzy słowem drukowanym? Ten mały i niepozorny niby drobiazg umie się cenić, bo wie przecież dobrze, że wszystko inne jest tylko dodatkiem do niego, nawet... wojna.

STOBO.

Wibracje uliczne.

Mglą krepy żałobnej otulone,
drżą światła elektryczne,
nimby rzucając koncentryczne,
magiczne,
wkrąg latarń, nad — „one" —
ćmy nocne, co giną
w szarość siną
lub paszcze uliczne...
— — — — — — — — — — — —
Dzwoniąc ciche, stłumione podzwonne,
w dal wieczorną, w mgłę szarą bez brzegu
suną w szeregu
tramwaje konne.
— — — — — — — — — — — —
Na drzewach gromadka wróbelków
(bez rubelków)
na drzewach gromadka wróbelków,
plotkująca przed nocą,
się garnie.
Stadka białe
w sypiącym się śniegu
świergocą.

Dzieciny małe,
szybkie jak skierki
sprzedają kurjerki:
stadka białe
w sypiącym się śniegu,
(na wzór wróbelków
bez rubelków)
świergocą.

Biało znaczą czarne palta
śnieg i wróbelki.
Śpiewają gwarnie, skacząc salta,
szybkie jak skierki
— kurjerki — kurjerki —
„Paniątko grosika! Paniątko na stancję"
Żerujące przed nocą
świergocą.
— — — — — — — — — — — —
Świecą w mgle latarnie, jak monstrancje,
jak wiatyku pociechy przedzgonne,
a w wieczorną dal miejską bez brzegu,
dzwoniąc ciche, stłumione podzwonne,
suną w szeregu
tramwaje konne — — — — — — —
— — — — — — — — — — — —

Polskie biuro prasowe jeszcze przed wojną podało wymowne liczby.

Oto Polacy dostarczyli w 1910—11 r. 33.858 żołnierzy do armji pruskiej. Na stopie pokoju armja niemiecka liczy 112.000 Polaków. W czasie wojny liczba żołnierzy polskich wzrasta co najmniej do 400.000 — a zatym więcej niż armja Bułgarji.

W armji austrjacko-węgierskiej liczba Polaków w armji wynosi 59.000 na stopie pokoju — z rezerwą i obroną krajową liczba ta wzrasta do 300.000.

Wreszcie w Rosji służy w szeregach 120.000 ludzi. W wojnie obecnej bierze udział przeszło 500.000, jeżeli uwzględnimy ochotników i pobór tegoroczny. Z pospolitym ruszeniem pierwszej kategorji liczba ta wzrośnie prawdopodobnie do 600.000.

Razem więc w trzech armjach walczy 1.300.000 Polaków.

Jeżeli doliczymy do tego Polaków, walczących w szeregach strzelców, w szeregach legji cudzoziemskiej we Francji, w korpusach pomocniczych amerykańskich W. Brytanji, jako ochotnicy w armji francuskiej, to otrzymamy co najmniej jeszcze 50.000. Razem więc liczba Polaków w armjach dosięga 1.350.000.

Odpowiedzi Redakcji.

Panu Władysławowi M. Rękopisy nadsyłane należy, dla wiadomości redakcji, podpisywać nazwiskiem. Anonimy idą do kosza.

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Prenumeratorzy *PRAWDY*, którzy wniosą z góry opłatę za I-sze półrocze, otrzymają cenne premjum w postaci mapy etnograficznej ziem polskich według powiatów. Mapa mieć będzie rozmiary dużej mapy ściennej.

Redaktor i Wydawca: **Wincenty Rzymowski.** Sekretarz Redakcji: **Stefan Piekarski.**
Druk L. Bogusławskiego, Św.-tokrzyska 11. Дозволено Военною Цензурою, Варшава, 18 Января 1915 г.